№ 65. Warszawa, dnia 1 (13) Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.



WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: **rocznie rs.** 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, **Wieniec** wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.
Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

CLAUDE BERNARD

I NOWOŻYTNY MATERYALIZM.

„*La France se recueille!*” Temi słowy odpowiedziała Francya na zaczepki niemieckich dzienników, gdy w parę miesięcy po ukończeniu nieszczęsnéj wojny z Prussami i zawarciu z niemi pokoju, objawił się w niéj niezwykły ruch, a niemieckie dzienniki, zdziwione i przerażone temi niespodziewanemi objawami niezwykłéj żywotności narodu, który swemi nadmiernemi wymaganiami zdusić i zniszczyć się spodziewano, zaczęły go obrzucać wyrzutami i wmawiać w świat, że się do nowéj gotuje wojny, do wojny zemsty i zniszczenia. Na te zarzuty odpowiedziała Francya zdumionemu i zaniepokojonemu światu z bolesnym spokojem i powagą: *la France se recueille!* I rzeczywiście to skupianie się w sobie narodu, ten wewnętrzny obrachunek ze swojém społeczném i polityczném sumieniem, stanowi główną i zadziwiającą cechę całego umysłowego ruchu, który się obecnie w tym srogo doświadczonym, głęboko poniżonym, w uczuciu swojéj godności śmiertelnie dotkniętym, a jednak pomimo to zawsze jeszcze groźnym i dumnym narodzie spostrzegać daje. Wreszcie to właśnie daje rękojmię szczerości i skuteczności tego ruchu, nadzieję szybkiego odrodzenia, i napełnia zarazem niepokojem i trwogą wrodzonych nieprzyjaciół, że naród nie idzie ślepo jak trzoda baranów, za tymi, którzy schlebiając jego dumie i jego wadom, w widokach osobistych, dążą do jego uśpienia i spętania w więzy nieudolności, rozprzężenia i bezwładności,— i nie ciska kamieniem na tych, którzy źródła jego upadku śmiało wykrywają i na oczy stawiają, bez względu na to, że i wrogowie się o tém dowiedzą—bo ci i tak o tém dobrze wiedzą—lecz zarazem i środki do podźwignięcia podają; że skupia swe siły i rozgląda się, bada swe zasoby i nie szczędzi ni ofiar ni poświęceń, by źródła upadku swego o ile się da zatamować, innych skutki ubezwładnić; za pomocą usilnéj, wytężonéj, twórczéj pracy z niedoli się wydźwignąć i dawną odzyskać potęge, dawne śród narodów zająć miejsce.

Ruch ten prawdziwego odrodzenia daje się spostrzegać nietylko w dziedzinie społecznéj i politycznéj, wiodąc do poczucia konieczności reformy wojskowéj, reformy szkół elementarnych i t. d. ogarnia on i sfery czysto duchowe, jawi się i na polu czystéj nauki, uderzającym dowodem czego wyszła w ostatnich czasach książka pod tytułem: *De la physiologie générale* par Claude Bernard. Paris 1872. Praca ta wydana przez jednego z najznakomitszych uczonych francuzkich, obecnie głównego przedstawiciela nowoczesnéj fizyologi francuzkiéj, którego badaniom ona niemal najwięcéj zawdzięcza tegoczesny swój postęp i wzrost, jest właściwie sprawozdaniem, treściwym poglądem na te wyniki nauki, do których samodzielne badania francuzkich fizyologów w ostatnich czasach doprowadziły i nimi do wzrostu i postępu fizyologii się przyczyniły. To sprawozdanie ułożone jest jeszcze w roku 1867, na żądanie p. ministra *Duruy*, który wezwał wszystkich uczonych i professorów nauczających ciał do złożenia mu sprawozdań ze stanu i postępu różnych naukowych gałęzi. Claude Bernard uczynił zadość wezwaniu nie w ścisłéj formie zwyczajnego raportu, lecz w formie sprawozdania, przedstawiającego obraz całego postępu i rozwoju fizyologii we Francyi, dołączając do tego w stosownych miejscach poglądy ogólne na pewne zadania téj ważnéj nauki, które to poglądy podoba mu się ochrzcić mianem fizyologii ogólnéj. Otóż ten raport z r. 1867 Claude Bernard ogłasza obecnie drukiem *z pewnemi zmianami* nie dotyczącemi jednak istoty, (sans avoir eu rien d'essentiel á y changer), i ogłoszenie jego właśnie w téj chwili zdawało się nam faktem ważnym, upoważniającym nas do powyżéj przytoczonych uwag. Aby się o tém przekonać, dość rzucić okiem na następne słowa, przytoczone przy końcu téj pracy: „Fizyologia jest to gałęź naukowa bezwarunkowo bardzo trudna, wymagająca środków naukowych licznych i nader skomplikowanych... Francya może się poszczycić, że wydała ludzi którzy się najsilniéj przyczynili do wytworzenia nowoczesnéj fizyologii i skierowania jéj w te koleje, po których obecnie z tak świetnym blaskiem naprzód podąża. A jednak nauka i uprawa fizyologii doszły *n i e u n a s do najwyższego swego rozwoju. Pomyślniejsze daleko warunki swego rozwoju znalazła ona gdzieindziéj.* Już od dawna istnieją za granicą liczne pracownie fizyologii, hojnie uposażone i zaopatrzone we wszystkie środki naukowe, które im są potrzebne. Prace fizyologiczne mnożą się tam z dnia na dzień, a rozwój naukowy postępuje tam krokiem szybkim i pewnym. I w istocie, w naukach eksperymentalnych nie wystarcza sama pomysłowość; aby się rozwinąć mogły trzeba jeszcze prócz tego środków pracy i większéj ilości pracowników. Uprawa fizyologii posuwała się u nas naprzód bardzo powoli, i dopiero gdy nam zagranica przykład dała, zaczynamy pojmować konieczność dania większéj pomocy tym naukom... Rozwój fizyologii napotyka trudności dwojakiego rodzaju, jedne naukowe, drugie materyalne... Trudności materyalne, które fizyologia eksperimentalna dotąd we Francyi napotykała, są konieczném następstwem małéj naukowéj ważności, którą jéj dotąd przyznawano. Trudno było nie zaniedbywać gałęzi naukowéj któréj ważności się nieuznawało, albo jéj nawet zaprzeczało (Cuvier i w ogóle zoologowie), z którego to powodu naznaczano jéj bardzo małe miejsce w systemie nauczania. Dla tego też karyera fizyologii eks-

perymentalnéj, wydziedziczona, albo nikogo nie wabiła, albo też skłaniała tych, którzy się jéj oddali, zniechęconych najrozmaitszemi przeszkodami, wkrótce do jéj porzucenia. Mógłbym mnóztwo przytoczyć przykładów w téj mierze. Ograniczę się tylko na kilku. Przed czterdziestu blizko laty przybył do Paryża pewny młody fizyolog. Pomimo swéj młodości był on już zaszczytnie znany w świecie naukowym ze swoich znakomitych prac w dziedzinie fizyologii eksperymentalnéj. Wszystko przepowiadało mu najświetniejszą przyszłość na téj nowéj drodze, w téj gałęzi naukowéj, rozwijanéj w kierunku wskazanym już przez Lavoisier'a i Laplace'a. Lecz zwróciwszy uwagę na opłakany stan katedry fizyologii w porównaniu z katedrami innych naukowych gałęzi i widząc przed sobą karyerę niewdzięczną i bez wyjścia, p. *Dumas* przeszedł do chemii... Fizyologia eksperymentalna, nie mając w naszym kraju urzędowego przytułku, rozwijała się właściwie na ulicy, śród trudności, skarg i łatwéj wreszcie do pojęcia odrazy publiczności do wiwisekcyj. Niepodobna sobie wyobrazić, jaką walkę zaciętą musiał toczyć Magendie, nim sobie zdołał wywalczyć w Collége de France kącik dla swoich eksperymentalnych badań; walkę, któréj ja sam byłem świadkiem. Gdym przed dwudziestu pięciu laty wszedł na tę samą drogę, musiałem tak samo jak i drudzy znosić te wszystkie przeszkody, jakie eksperymentatorom według zwyczaju stawiano. Trzeba było wielkiego zamiłowania do fizyologii, niesłychanéj odwagi i cierpliwości, aby nie zwątpić i nie porzucić téj drogi. Jak tylko wykryto kogoś, że się zajmuje fizyologicznemi eksperymentami, natychmiast go zdenuncyowano sąsiadom, oddano go na powszechną pogardę, na odrazę publiki i na pastwę prześladowań komisarza policyi... Znałem takich, którzy pomimo zamiłowania do fizyologii dali się odstraszyć podobnémi przeciwnościami i zwalczeni, byli zmuszeni albo zmienić kierunek swéj pracy, albo opuścić Francyę (jak np. Brousi-Seguard). W tym przeglądzie prac i nowoczesnych odkryć w fizyologii, sam przedmiot mię zmusił do ścisłości, w skutek czego byłem zniewolony uwydatnić jedynie nazwiska i prace francuzkich uczonych, wykazać tylko udział Francyi w dziele powszechnego postępu. Daleki zaś byłem od chęci ustanowienia przez to jakiejś drobnostkowéj, zazdrosnéj i naganném rywalizacyi między pojedynczemi narodami.

„W rzeczy saméj *nauka nie zna granic, a uczeni wszystkich narodów stanowią tylko jedną rodzinę pracującą dla korzyści całéj ludzkości.* Jest to jednak rzecz bardzo użyteczna porównywać między sobą rozwój naukowy u pojedynczych narodów.

„Takie słuszne i sprawiedliwe porównawcze ocenienie nauk wiedzie do rozbudzenia *szlachetnego* współzawodnictwa i zdobycia sposobów wzajemnego naukowego wydoskonalenia. Tym sposobem np. łatwo pojąć, *że Niemcy dla tego najsilniéj są reprezentowani w literaturze nowoczesnéj fizyologii, że środki uprawy dziedziny eksperymentalnéj fizyologii u nich są najliczniejsze i najlepiéj urządzone. Ztąd wynikło, że nigdzie nie wytworzyło się tylu znakomitych fizyologów i nigdzie uczniowie nie znajdują tylu środków do swoich naukowych prac i tak dobrego naukowego kierunku, jak u nich. Nigdzie indziéj nie ma tylu uniwersytetów, tylu znakomitych uczonych, tylu dobrych i ładnych fizyologicznych pracowni, tylu uczniów krajowych i zagranicznych, oddających się pracom w dziedzinie fizyologii eksperymentalnéj. Niemcy więc nam dają naukę, z któréj inne narody powinny korzystać.*

„Do rozwoju każdéj umiejętności można się przyczynić w dwojaki sposób: 1) przez popęd, jaki nadają odkrycia i nowe myśli, i 2) przez potęgę środków pracy i naukowego rozwoju. Dla postępu nauk główną rzeczą bez zaprzeczenia jest odkrycie i myśl.—Lecz one stanowią niejako tylko zarodki, *które niedość wytworzyć i zasiać, trzeba je jeszcze żywić i rozwijać za pomocą naukowéj uprawy. Inaczéj zamierają lub wychodzą za granicę, a wtedy dopiero widzi się jak pomyślnie rozwijają się i stają płodnemi w bujnéj ziemi do któréj się dostały, daleko od téj w któréj się zrodziły.*"

Jakiż to przewrót musiał nastąpić w dotychczasowém zapatrywaniu się Francuzów na świat a mianowicie na stanowisko swego własnego narodu w nim, jeśli powyżéj przytoczone słowa mógł napisać i ogłosić drukiem mąż, który dotąd z pewną wyniosłością spoglądał na naukowe dążenia innych narodów, przedewszystkiem na kontynencie, nie uznawał za godne troszczyć się zbytecznie nietylko o wyniki ich pracy na témże samém naukowém polu, ale nawet i o los swoich własnych myśli i wyników badań, jakiego śród nich doznały! Jakież to przykre myśli i uczucia musiało wzbudzić w końcu w jego sercu to przekonanie, że jego własne odkrycia i pomysły, przez niego samego i jego współrodaków zaniedbane, porzucone, przyjęły się w obcéj ziemi, rozrosły bujnie i doprowadziły do rezultatów, które o wiele prześcigły treść badań w ojczystym ich kraju! Że Claude Bernard odczuł boleśnie to przekonanie, świadczą jasno i powyżéj przy końcu przytoczone i następne jego słowa, w przypisku, zamieszczonym na stronnicy 338:— „Wszystkie odkrycia i wszystkie prace, które dotąd ogłosiłem, są—*sam to uznaję*—często tylko prostym szkicem, czasami nawet w formie *niedostatecznych* wskazówek. Zdaje mi się jednak że one pomimo to wpłynęły *pomyślnie na rozwój fizyologii pobudzając do nowych poszukiwań wielu eksperymentatorów.* Pragnę jednak, aby wiedziano, że niejasności, niedokładności i pozorny brak zwięzłości w moich pracach są wynikiem tylko braku czasu, trudności w wykonaniu i różnych zawad i kłopotów, które spotykałem w ciągu mego naukowego rozwoju. Od kilku lat jestem zajęty myślą aby *przerobić na nowo wszystkie moje rozrzucone prace, związać je i przedstawić w całości*, i tym sposobem wyjaśnić wszystkie myśli ogólne, które w nich są zawarte." Zaiste! Jakiż to ból musiał trawić serce tego człowieka, który wydarł z ust jego to wyznanie! Jest ono przytém wielką dla wszystkich nauką, że wszelkie zasklepienie się w samym sobie, wszelkie wyłączenie się z żywego związku z drugimi, czy ono spostrzegać się daje w jednostce czy w narodzie, wiedzie w końcu do zastoju, zacofania i upadku i wychodzi nakoniec na niekorzyść téjże jednostki czy to pojedynczéj czy zbiorowéj. Dzieje świata i ludzkości dostarczają w téj mierze dosyć bijących w oczy dowodów! Świadczą one niezbicie, że tak zamknięcie się w sobie, jak, a nawet jeszcze więcéj, bezmyślne małpiarstwo obczyzny, z wyrzeczeniem się własnego, samorodnego, twórczego pierwiastku, prowadzą niechybnie do zagłady. Burza, która w ostatnich latach zawisła nad Francyą, i gromami swemi zniszczyła do szczętu istniejący porządek, oczyściła równocześnie powietrze ze zgubnych niszczących pierwiastków, zdarła zasłonę przesądów z oczu narodu i skruszyła zgubne więzy, w które je spętały buta i wygórowana miłość własna; nie zdołała jednak zdruzgotać wewnętrznego poczucia własnéj godności, rodziméj siły i geniuszu! A tam gdzie to poczucie istnieje, gdzie ono należycie pojęte przed oczami świeci jasno, nie przyćmione brudem naleciałości obcych i złych namiętności, tam o przyszłości powątpiewać nie należy.—Claude Bernard kończy swoje sprawozdanie temi słowy: „ażeby postępować w naukach eksperymentalnych w ogóle, trzeba dwóch rzeczy: *geniuszu*, który się nie nabywa, i *środków do pracy*, któremi człowiek rozporządza. Fizyologia francuzka domaga się tylko tego, co jéj z łatwością dostarczyć można, geniuszu nigdy jéj nie brakowało!" Słowa dumne, lecz prawdziwe, nikt tego zaprzeczyć nie zdoła; wyrażają one poczucie swéj rodziméj siły! Że jest poczucie jasne i własnych niedostatków, dowodzą powyższe przytoczenia. Przyszłość przeto niewątpliwa!

Lecz zwróćmy się do głównego przedmiotu pomienionego dzieła. (*d. c. n.*)

JÓZEF NARZYMSKI.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 64*).

Ostatni jego list, ostatnie zapewne kilka wierszy jakie mógł jeszcze niepewną ręką skreślić, zaczynają się od słów: „Już ledwo żyję," a kończą ostatniém pożegnaniem dla znajomych.

Literacka czynność Narzymskiego rozpoczęła się w czasach jeszcze studenckich od pisania wierszy; kilka tych ulotnych utworów wydrukowała Gazeta Polska, całe zaś pliki rozpoczętych poematów, powieści, dramatów i tragedyj zaginęły w późniejszych czasach bez wielkiego żalu autora. Pierwszą pracą, która pochlebnie dała go poznać, była dwuaktowa komedya „Wielki człowiek powiatowy", posłana na konkurs warszawski. Nikt na tym konkursie ani pierwszéj ani drugiéj nagrody nie odebrał, wyszczególniono tylko trzy prace a między niemi i komedyę 19-sto letniego wówczas Narzymskiego. Gazeta Warszawska w sprawozdaniu z konkursu dość obszernie o niéj pisała i przytoczyła niektóre wyjątki. W całości nigdy nie była drukowana.

Po powrocie z Paryża 1861 r. napisał rzecz większych rozmiarów i z tendencyą większéj doniosłości, trzech-aktowy dramat wierszem rymowym „Niekomiczna komedya" (druk. w Poznaniu 1862), w którym pragnął przedstawić pod allegoryą tamtoczesne stosunki. Dramat przeszedł prawie niepostrzeżenie, w czém była więcéj wina okoliczności niż autora, grany był jednakże w roku 1862 w Kijowie, w Żytomierzu i w miastach wschodniéj Galicyi. Aktorowie, którzy w nim występowali a późniéj należeli do składu teatru krakowskiego, opowiadali Narzymskiemu o powodzeniu, jakie tam miała jego sztuka, i jak się zdaje zachęcili go tém do wytrwania na téj drodze i do pisania dla sceny.

Dopiero od przybycia do Krakowa w r. 1868 zaczął pisać bez przerwy i coraz lepsze rzeczy. Wspólnie z Wł. Sabowskim (Wołodym Skibą) napisał dwie komedye „Emigrant w Galicyi" i „Poświęcenia". W obu pomysł i układ są jego własnością. Komedye te były grane pierwsza we Lwowie, druga w Krakowie. Równocześnie brał udział w redakcyi „Kraju," gdzie pisywał po części artykuły polityczne, po części feiletonowe i to najwięcéj humorystyczne jak „Powrót Delegatów" „Jajko wielkanocne" i t. d. Po założeniu „Kuryera Krakowskiego" którego istnienie jednak niedługo trwało, był jego współredaktorem razem z Sabowskim. Pisywał także i do in-

nych pism polskich, do Dziennika Poznańskieog do Tygodnika Wielkopolskiego, do Sobotki, Wieńca i t. d. Jego są pióra tygodniowe kroniki w Dzienniku Poznańskim p. t. „O tém i o owém" mogące posłużyć za wzór podobnego rodzaju artykułów, bo odznaczają się zarówno treścią jak formą powabną i swobodną.

Oprócz wymienionych, do prac jego po największéj części i w pismach i w osóbnéj odbitce wydawanych należą: „Historya teatrów w Polsce" — „Dwie pary," powiastka wspólnie z Sabowskim napisana—„Pozory mylą" powiastka— „Ojczym" obszerna powieść, nieskończona dotąd w Tygodniku Wielkopolskim — „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach," krotochwila w 2ch aktach — „Trzy miesiące," studyum — „Epidemia," dramat w 4ch aktach — „Pozytywni," komedya w 4ch aktach. Prócz tego przetłómaczył dla sceny krakowskiéj z francuzkiego komedyę: „Na łasce zięcia," Molierowego „Skąpca" i Beaumarchais'go „Matka występna." Bardzo wielka jest także liczba jego literackich i teatralnych recenzyj.

Dramaturgia była dla niego najulubieńszą gałęzią literatury, i na tém też polu zostawił po sobie najcelniejsze prace. Mówię tu mianowicie o jego 2ch komedyach: Epidemii i Pozytywnych, które na dwu po sobie następujących konkursach krakowskich w roku 1871 i 1872 otrzymały pierwsze nagrody.

Sztuki te należą do rzędu tak nazwanych społecznych komedyj. Francuzcy autorowie, a między nimi najwięcéj zapewne Dumas syn, utworzyli ten rodzaj i dotąd w nim celują. U Narzymskiego jednak nie było to prostém i ślepém naśladownictwem, że poszedł w tym kieruku, ale wypływało z jego sposobu zapatrywania się na scenę. Poznał on i wysoko cenił geniusz tych poetów dramatycznych, którzy jak Szekspir albo Molier, pokazywali w utworach swoich to, co jest wieczne i niezmienne w naturze ludzkiéj. Ale obok tego rozumiał także, że teatr może mieć i inne jeszcze przeznaczenie, więcéj że tak powiem praktyczne i do interesów pewnéj chwili zbliżone. „Ideą fixe moją jest (pisze w jednym ze swych listów), że teatr powinien być także katedrą, szkołą, propagandą, chwytać kwestye palące, poruszać i zmuszać do zastanawiania się nad niemi."

W tym duchu pisane są: Epidemia i Pozytywni. Narzymski chciał w nich pochwycić te kwestye palące, które w naszych czasach do najważniejszych należą, wykazać błędność opinij i przekonań rządzących ogółem i poddać pod surową krytykę to co jest w nich niezgodnego z rozsądkiem albo z naszém położeniem. Chciał pisać sztuki tendencyjne jedném słowem, i to udało mu się jak najzupełniéj, bo umiał pochwycić to co w atmosferze naszych czasów jest rzeczywiście panującym prądem, a spostrzeżenia swoje przedstawił w formie i w obrazkach trafiających do wyobraźni i do przekonania naszego. Był on niejako w tych dwóch swoich komedyach owym zdolnym portrecistą, który umie dostrzedz co w oryginale jaki ma przed oczyma, należy do rysów najbardziéj charakterystycznych, i rysy te wiernie przeniesie na płótno.

Najlepszym na to dowodem jest ta okoliczność, że publiczność słuchała jego sztuk zawsze z najżywszym interesem. Kto był wówczas w teatrze krakowskim, ten mógł widzieć po wszystkich twarzach, a często słyszeć w prowadzonych rozmowach, że widzowie w osobach przez autora wprowadzanych na scenę widzieli samych siebie, poznawali swoje uczucia i opinie, i przyglądali się im jako trafnemu obrazowi swoich czasów i panującego ducha. To też powodzenie sztuk Narzymskiego na scenie przewyższało zawsze oczekiwanie sędziów na konkursie zasiadających.

Tendencya „Epidemii" była zbyt wyraźna, i powszechna na nią nastąpiła zgoda. Z „Pozytywnymi" było cokolwiek inaczéj. Dawały się słyszeć ciche i delikatne zarzuty (bo osobę i dążności autora zbyt poważano), że komedya ta niesłusznie skazuje na potępienie kierunek dzisiejszy pozytywny w życiu i w filozofii. Cokolwiekbądź za tym kierunkiem niejedno przemawia, i dzisiaj już stał się potęgą do pewnego stopnia. Narzymski też nie miał bynajmniéj na myśli potępiać go bezwzględnie. Przyznawał, że „w teoryi téj (w pozytywizmie) może być dużo prawdy," ale z naszego szczegółowego stanowiska wydawała mu się rzeczą zgubną albo raczéj przedwczesną.

Czy pozytywiści dzisiejsi zgodzą się na to zdanie autora komedyi czyli nie, tém jednak mogą się pocieszać, że właściwie Narzymski nie potępiał i nie wyśmiewał prawdziwego pozytywizmu, ale takich ludzi, co się pod jego płaszczyk podszywają. Ludzie szczerze pobożni nie mogą i nie powinni mieć żalu do Moliera, że napisał Tartuffa.

„Pozytywni" byli ostatnim jego utworem przysłanym do Krakowa już z Meranu i napisanym w pierwszéj redakcyi w przeciągu sześciu tygodni. Losy téj sztuki, kwestya czy będzie przez konkurs nagrodzona czy nie? (bo rzecz ta w istocie ważyła się czas jakiś na dwie strony), jakiego dozna powodzenia na scenie? zajmowały w ostatnich miesiącach życia prawie wszystkie myśli Narzymskiego. Chory i drażliwy z tego powodu, był niecierpliwym, bo przeczuwał, że to już ostatnia jego praca i ostatnia zapewne pociecha. Bóg pozwolił mu jeszcze dożyć téj chwili, że otrzymał wiadomość o niezwykłym sukcesie swéj sztuki. Doniesiono mu o tém telegrafem z Krakowa, a w odpowiedzi na to Narzymski pisał pod datą 10 maja z Wenecyi: „Dziwna rzecz, człowieka w mém położeniu rzeczy takie nie powinny obchodzić. A jednak całą noc z poniedziałku na wtorek przegorączkowałem."

Z Meranu przy końcu lutego donosił o nowych jeszcze planach do dwóch komedyj. W jednéj, któréj nadawał tytuł „Wnuki hetmańskie" albo „Karmazyny" chciał odmalować manię tak zwanego „gründerstwa," tak silnie zakorzenioną w Galicyi, i arystokracyę tutejszą, która dumna względem swoich, a uniżona w obec ministrów rozdających koncessye, zarabia miliony kosztem akcyonaryuszów. Przedmiotem drugiéj komedyi miała być kobieta wykształcona, uczona, posiadająca nawet specyalne wiadomości, a która mimo to nie traci nic ze swojéj kobiecości. Czy plany te choć w części zostały przez autora urzeczywistnione, nie wiemy, ale wątpimy o tém, bo srożąca się coraz bardziéj choroba zapewne na to nie pozwoliła.

Jeszcze słowo. Narzymski był nietylko talentem literackim, ale prawym i nawskroś szlachetnym charakterem. To pewna, że myślał zawsze więcéj o innych niż o sobie, i nie było kwestyi czy to społecznéj, czy intellektualnéj, którąby dla niego była obcą albo obojętną. Z tego oddania się interesowi powszechnemu wypłynął także cały kierunek jego literacki, i otrzymał właściwą sobie cechę. Nie można wątpić, że dla niego nie istniała „sztuka dla sztuki," ale że z nią wiązał zawsze więcéj dotykalne cele, mianowicie pożytek społeczeństwa. Nie idzie jednak bynajmniéj za tém, ażeby nie uznawał wartości artyzmu, nie starał się oń, i nie osiągnął go do znakomitego stopnia. Pisał łatwo i wiele, miał wrodzoną płynność stylu, a we wszystkiém co napisał jest dobry smak i silne poczucie estetycznych wymagań.

W gronie literackiém zostawił także po sobie wielki żal i drogie wspomnienia jako dobry kolega i prawdziwy przyjaciel. Co dosyć rzadką jest rzeczą, Narzymski nie znał zupełnie co to jest zazdrość i zawiść fachowa. Cieszył się z obcego powodzenia szczerze i całém sercem jakby z własnego, chętnie i zwykle najpierwszy oddawał innym sprawiedliwość, z większą ochotą podnosił strony dodatnie niż ujemne, a kiedy o tych ostatnich wspominał, czynił to po przyjacielsku, z największém uszanowaniem dla obcéj miłości własnéj. Goryczy i żółci nie doznał nikt ani z jego ust, ani z jego pióra, to też sam kochanym był powszechnie, nie miał nieprzyjaciół ani niechętnych.

Mimo to wszystko, mimo darów umysłu i serca, mimo nawet darów fortuny zwykle tak skąpéj dla ludzi z jego zawodu, życie Narzymskiego w początkach tak swobodne i szczęśliwą rokujące przyszłość, w epoce swojego zenitu, w dojrzałym wieku mękzkim, było ciężkie i bolesne.

A. B.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

I.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 64).

— Dyć, wyrzekła, trzymałam cię do chrztu to mi żal że swego szczęścia widzieć nie chcesz.

— Szczęścia! zawołał; Bogać szczęście, gdzie wy je tam widzicie?

Kobieta nie zważała wcale na to zaprzeczenie, ale zbliżywszy się poufale mówiła.

— Maryśka Plaskocianka jeszcze mi dziś popowiadała: „Gdyby tylko Stach przysłał do mnie swaty, zarazbym za niego poszła, a jakby potém do wojska zły los wyciągnął, to znalazłoby się w chałupie czém go wykupić i dobytkuby się na to nie zmarnowało." I nie dziwota, wszyscy wiedzą, że Plaskota zamożny gospodarz, a córka u niego jedyna.

Pomimo widocznego wstrętu, parobczak słuchał tego wszystkiego w milczeniu, jednak że wzdychał, jak gdyby bogactwo i dobre chęci Plaskotów czyniły mu daleko więcéj przykrości niż zadowolenia, a przecię cóż go one obchodzić mogły, jeśli rzeczywiście kochał Hankę, jak jéj to mówił przed chwilą?

Wickowa spoglądała na niego przebiegłemi oczyma.

— No i cóż ty na to? spytała.

On nie odpowiadał.

— Będziesz się upierał przy téj bladéj Hance, aż ożenisz się z karabinem, zobaczysz.

Zmarszczył brwi, oczy jego zamigotały tłumionym gniewem,

— To będzie bieda mnie nie wam, mruknął przez zaciśnięte zęby.

Była to widoczna odprawa, jednak kobiecie

RYSUNEK JANA MATEJKI.



Arcybiskup Solikowski.

nie chciało się odchodzić, stała przy krowie i patrzała na Stacha jakby sprawa Marysi Plaskocianki leżała jéj bardzo na sercu.

— Głupia i ta Hanka, zawołała, bałamucić chłopca, kiedy z tego nic być nie może!

— Może czy nie może, to już nie wasza rzecz.

— Oj, dałabym ja téj Hance, gdyby mi się ino w ręce dostała!

Miara cierpliwości Stacha przebrała się widać, bo słysząc te słowa odskoczył od płotu i zwrócił się do staréj kobiety; pierś jego dyszała gwałtownie, oczy ciskały błyskawice.

— Wickowa, zawołał urywanym głosem trzymaliście mnie do chrztu, pamiętam o tém—szanuję was—ale dajcie już pokój—nie mówcie więcéj o Hance.

Znać było w tych słowach cierpienie i walkę, znać było że krew jego kipiała warem uczuć, które powstrzymywał z trudnością. Przecież kobieta nie usłuchała go: może zdawało jéj się, że po tym wybuchu bliższa była zwycięztwa. Człowiek pewny swego nie gniewa się daremnie. Wickowa znała zapewne serce ludzkie i logikę namiętności z doświadczenia.

— Stachu, wyrzekła znowu, ja chciałam tylko przypomnieć ci twoją biedną matkę.

Widać tém słowem trafiła w słabą stronę jego,



Powódź w Czechach pod Zbrasławem (Königsaale) w dniu 24, 25 i 26 Maja.

bo przycisnął obie pięści do czoła z wyrazem rozpaczy. A ona mówiła daléj:

— Wiesz dobrze, chudziątko umarłaby z głodu, gdyby ciebie nie było, nie zarobi, nie użebrze.

— Przestańcie już, szepnął, na Boga przestańcie.

Oczy staréj błysnęły tryumfem.

— A widzisz, rzekła, że posłuchać mnie musisz. Ot zamiast tu wyszukiwać Bóg wie czego, poszedłbyś zemną do Plaskotów. Ino krowę zapędzę.

I brała go za ramie jakby z sobą pociągnąć chciała.

Ale on odepchnął ją z gniewem, że się aż zatoczyła.

— Czego ona chce odemnie ta wasza Maryśka, przecię ja jéj nie szukam, zawołał.

Stara mruczała coś przez zęby, ale w oczach jéj złośliwych nie było śladu dobrych chęci, z jakiemi się oświadczała.

— Tak, tak, ty jéj nie szukasz, ale za ciebie szuka jéj tam wielu; czy to ona prócz ciebie kawalera nie dostanie? Namyślisz się ty jeszcze, prosić mnie będziesz, bym ci dopomagała,—ale to będzie po niewczasie.

Pomimo tego proroctwa, oddalała się niechętnie, snadź miała jakieś własne widoki w namawianiu chłopca do bogatego ożenienia, więc pochwili zatrzymała się i zaczęła z innéj strony.

— Oj! Stachu, Stachu, ty wiesz dobrze, mówiła grożąc mu palcem: że w żadnéj wsi okolicznéj nia ma tak rzeźkiego i ślicznego parobczaka jak ty, to i przebierasz w dziewczętach.

Rzeczywiście miała słuszność: młody wieśniak był piękny jak posąg grecki odlany z żywego bronzu, rysy jego miały klassyczną doskonałość, a złociste włosy spadały bogatemi kędziorami na gładkie czoło, uwydatniając to podobieństwo. Brakowało mu tylko wieńca z lotusów, którym mistrz starożytny ozdobił czoło Antinousa na sławnéj płaskorzeźbie, by zdał się zupełném powtórzeniem tego arcywzoru piękności. Kibicią silną i wdzięczną przypominał smukły wzrost, młodego dębu; znać było, że dłoń jego miała uścisk żelazny, że ta pierś szeroko chłonąca powietrze, mogła żywym murem zasłonić ukochanych, a oko jasne, czyste, błyszczące, świadczyło że obok siły nie zabrakłoby mu męztwa.

Kobieta patrzała na niego ciągle z uśmiechem, który chciała uczynić przyjaznym.

— Tobie może, wyrzekła, i Hanka nie w głowie, tylko Boże odpuść bałamucisz, ale dziw że się dziewczętom, że szaleją za tobą.

On jednak nie zwrócił uwagi na to powtórne pochlebstwo: myśli jego były gdzieindziéj. Stał ze spuszczoném czołem, z załamanemi rękoma. Stara nie odbierając żadnéj odpowiedzi zaganiała krowę, oglądając się co chwila, aż wreszcie przekonawszy, się że dzisiaj nic nie zbuduje, zniknęła na zakręcie drogi.

On stał jeszcze czas jakiś milczący; burza uczuć wywoływana tém wszystkiém co przypominała mu ta rozmowa, nie mogła uspokoić się od razu. Daremnie wrzał gniewem, daremnie się buntował przeciw konieczności: położenie jego było bez wyjścia, miłość bez nadziei, czuł to, choć samemu sobie przyznać nie chciał. A jednak nadzieja to ostatnia rzecz, któréj się młodość wyrzeka. Kto wie? on wierzył może, iż stanie się cud jakiś, iż Niebo zeszle mu pomoc niespodzianą; wierzył prędzéj we wszystko co niepodobne, niż w to, by on musiał wyrzec się uczuć swoich. A zresztą przyszłość była daleko, Hanka blizko: po chwili usłyszał szelest jakiś w sadzie, i szybko zwrócił się w tę stronę.

Noc zapadła zupełna, księżyc przyświecał miłym blaskiem przez zasłonę chmur rozwidniając przedmioty. Przy tém smętném świetle dojrzał postać dziewczyny ciemniejącą wśród nagich gałęzi sadu. Przyskoczył do niéj.

— Teraz nie puszczę cię Hanko, zawołał, aż mi powiesz, czemu tak smutnie patrzałaś na mnie?

Wstrząsnęła głową.

— A ty sam Stachu, wyrzekła z wolna, czemu po rozmowie z Wickową stałeś jak w ziemię wryty?

Podejrzenie powstało błyskawicą w myśli jego.

— Ty słyszałaś wszystko! zawołał.

— Choćbym i słyszała szepnęła, nie było tam nic nowego.

— Jakto? spytał patrząc w jéj żywe oczy.

Hanka była bardzo blada, znać to było nawet przy niepewném świetle téj godziny; chciała coś powiedzieć, wargi jéj zadrżały, ale żadne słowo z nich nie wyszło.

Teraz jednak on nie pytał z dawną natarczywością, i przez chwilę trwało pomiędzy nimi milczenie przerywane tylko tętnem dwóch serc bijących gwałtownie.

— Mocny Boże, zawołała dziewczyna, kryjąc twarz w dłoniach: Wickowa prawdę mówi. Idź do Plaskotów Stachu, co ci po mnie sierocie?

Chłopiec załamał ręce, aż stawy zatrzeszczały. Ona miała słuszność także, przecięż czuł, że posłuchać jéj nie mógł.

— Hanko, wyrzekł ponuro, ty wiesz że to daremnie, choćbym chciał nawet, ja porzucić cię nie mogę, ani przylgnąć do innéj, serca nie przyniewolić.

Nic nie odpowiedziała mu. Nie była to ani zalotnica grająca bezinteresowną rolę, by wymódz przyrzeczenie, ani żadna bohaterka marząca o poświęceniach; mówiła po prostu, czuła zarówno ze Stachem, rozumiała dzielące ich zapory; płakała nie widząc sposobu ich zniweczyć.

Oboje byli ubodzy, cały ich majątek stanowiły silne pracowite ręce, ubóztwo nie zastraszało ich wcale, znali je od pieluch, w niém wzrośli walcząc codzień o chleb niepewny. Ale Stach był popisowym, za kilka tygodni trzebe mu było stawać do losów, a miał starą schorzałą matkę, która na niego tylko rachować mogła. Na to nie było lekarstwa, czuli to oboje.

— Nie płacz Hanko, szepnął wreszcie chłopiec, nie płacz, bo jak na ciebie patrzę, to mi serce pęka.

Spróbowała rozjaśnić twarz i obetrzeć oczy; czuła, że cierpiał, nie chciała dodawać mu ciężaru. Ale to pokazało się nad jéj siły. Była ona hartowna na ból; przecięż są chwile w których boleść zwycięża najwytrwalsze istoty, i wbrew woli łzy płynąć muszą.

—.Stachu, wyrzekła wreszcie: już późno, wracaj do matki, ona czekać cię musi.

Chłopiec obejrzał się, jakby te słowa przywiodły mu na pamięć czas, o którym zapomniał przy niéj, ale pomimo to nie ruszał się z miejsca.

— Idź już, idź, dodała, popychając go lekko.

— Kiéj nie mogę cię tak odejść zapłakanéj. Bądź dobréj myśli, Hanko.

Otarła dłonią oczy, jak gdyby chciała według woli jego z czoła spędzić troskę.

— Ha, możeć Bóg dobry zmiłuje się nad nami, odrzekła.

Wyczerpawszy snadź ludzkie nadzieje, zwracała się do wyższéj pomocy.

I nie czekając co jéj więcéj powie, poszła do chaty, zkąd rozchodziło się wołanie jakieś. Stach pozostał chwilę spoglądając na nią, potém wolnym krokiem skierował się ku wsi. Stała tam chata maleńka, o jedném okienku, przyparta ścianą do stroméj góry, któréj wierzchołek zwieszał się nad nizkim dachem, grożąc mu piaskową lawiną. Z niego spuszczały się gałązki głogów i kalin i w mgle nocnéj czerniały niby nogi olbrzymiego pająka czyhającego na zdobycz.

W chacie przez małe szybki błyskało wesołe ognisko, a przy niém na ławie siedziała kobieta złamana wiekiem czy chorobą. Wychudłą i pomarszczoną ręką mieszała coś w garnku, w którym snadź gotowała się wieczerza. Ta czynność przecię nie zajmowała jéj wyłącznie, bo źrenice raz wraz zwracały się ku drzwiom, jakby oczekiwała kogoś niecierpliwie.

Musiała być ona piękną kiedyś, świadczyły o tém regularne choć powiędłe rysy i oczy wielkie, teraz zaszłe mgłą wieku czy cierpienia. Ale piękność wśród ciężkiéj pracy i trudów wieśniaczego stanu ma tylko krótki rozkwit; ten kwiat wieśniaczy opada zaledwie rozwinięty, słońce i ostre wichry każą białość lica i odejmują rysom pierwotną delikatność. Dla tego też wieku téj kobiety niepodobna było określić, témbardziéj że postać jéj przygarbiona, żółta cera i kaszel co chwila wydobywający się z piersi zdradzały chorobę. Ona nie poddawała się jéj widać, bo mała izdebka wymieciona była starannie, statki czysto wymyte stały w kącie, a miski malowane w wielkie kwiaty i liście połyskiwały na półce, jako całe domowe bogactwo. Ubranie jéj nawet ubogie, ale całe, nie odrażało wcale cynicznemi łachmanami, jakiemi często okrywają się chłopi zamożni nawet w dni robocze. W izbie była sama a milczenie przerywał tylko trzask jedliny w kominie i kilka kur gdaczących w kącie, gdy skrzypnęła zapora i we drzwiach ukazała się znana nam postać Wickowéj. Nie jéj to widać oczekiwała stara kobieta, bo słysząc zbliżające się kroki, szybko podniosła oczy; oczy te ożywiły się na chwilę, i znowu ujrzawszy wchodzącą zapadły w dawną mroczną nieruchomość.

Zapewne Wickowa nie zauważyła téj przelotnéj zmiany, a jeśli zauważyła, nie zastanowiła się nad nią, i rzekła w progu dawnym obyczajem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki odparła stara kobieta.

Głos jéj był ochrypły, stłumiony, jak gdyby za każdém słowém tchu jéj brakowało; spoglądała obojętnie na nowo przybyłą.

— A jak się macie kumo? zagadała ta ostatnia.

Stara kiwnęła głową.

— Ot! jak zwykle, kołaczę się na tym świecie, biduję, a nic wykołatać nie mogę. Pan Bóg trzyma mnie na ziemi, to i cierpieć trzeba, taka Jego wola.

— Nie narzekalibyście tak Dąbkowa, to grzech, a coby nawet Stacho bez was robił?

Na wspomnienie syna oczy jéj zabłysły, ale odparła smutno.

— Dyć i dla niego jestem ciężarem, jego ręce na nas oboje pracować muszą.

I mówiąc to, zaczęła pilnie mieszać w garnku gotujące się kartofle.

Wickowa patrzała na nią przez chwilę.

— Oj, wyrzekła, zdałaby się wam w chacie synowa, zdrowa, młoda, gospodarna; wam to zawsze mówię i Stachowi także.

— Gdzie jemu myśleć o żonie! Ot zawołają niedługo do losów, a jak zły wyciągnie, to już mnie przyjdzie z głodu umrzeć.

Złożone ręce załamała na kolanach i oczy wlepiła w płomienie, zapominając wśród ciężkiéj troski o téj, co wywołała ją niebacznemi słowy.

Przez chwilę trwało milczenie. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Poznań w sierpniu 1872 r.

Prawią już u nas od początku lipca o *saison morte*, o opustoszeniu i osamotnieniu bruku poznańskiego, o publiczności rozjeżdżającéj się do wód i w zagraniczne podróże. Tymczasem, dotykając się rzeczy z blizka i patrząc od dnia do dnia na to, co się u nas dzieje, przychodzimy do przekonania, iż wszystkie te żale i skargi, jeżeli nie bezpodstawne całkiem, to dotąd przynajmniéj były mocno przesadzone, co tém lepiéj i mocniéj czuć się daje, że teraz dopiero nastała dla nas prawdziwa *saison morte*. Powstrzymywał ją i ocalał nas od niéj pobyt teatru krakowskiego. Z wyjazdem jego skończyły się dla Poznańczyków i Poznania „dni szczęśliwego w Aranjuez pobytu;" pozwólcie, że choć przez wdzięczność parafiańską poświęcę mu kilka słów wzmianki w dzisiejszéj mojéj kroniczce.

Dzieje scenicznéj działalności towarzystwa krakowskiego w ciągu ubiegłego miesiąca czerwca skreśliłem już, a jak mi się zdaje, bez wszelkiéj panegirycznéj przymieszki, w ostatnim swoim liście z Poznania. W obecnym wypada mi je dopełnić tylko krótkim szkicem z miesiąca lipca. Przedstawienia sceny krakowskiéj, o ile się ograniczały na jéj zwykły skład osób, nie zmieniły przez ten czas ani wartości, ani charakteru. Ta sama troskliwość w grze artystów, ten sam daléj repertuar z przewagą sztuk, bądź to przełożonych z języka francuzkiego, bądź, co dużo wedle nas gorsza, przerobionych z romansów francuzkich. Gdyby więc scena krakowska była tylko pozostała w swym zwykłym składzie i przy swym dotychczasowym repertuarze, byłbym mógł bezpiecznie całą mą kroniką teatralną poznańską skończyć na wzmiance, że p. Koźmian bawił ze swém towarzystwem u nas do dnia 21 lipca i że opuścił nas, by się puścić do Krynicy. Dodał jednakże blasku, wartości, a zarazem niepospolitego interesu ostatnim chwilom pobytu teatru krakowskiego u nas, przyjazd znakomitego artysty waszego warszawskiego teatru, p. Królikowskiego. Wystąpił, prawda, tylko dwa razy ze wszystkiém, w rolach gościnnych, ale w obu tych razach przedstawił nam wymowną próbę prawdziwie pierwszorzędnego artysty dramatycznego i wywołał ogólny a niepodzielny udział całéj naszéj publiczności, nie wyjmując, co bardzo wiele znaczy, niemieckiéj. Jak co dopiero powiedziano, wystąpił dwa razy, we Franciszku Moorze w *Zbójcach* Schillera i w *Narcyzie Rameau* Emila Brachvogla. W pierwszéj mianowicie z obu wymienionych rol mieliśmy powód i sposobność podziwiać niezrównany talent Królikowskiego. Podobnego *Franciszka Moora* z wszelkiemi najdelikatniejszemi odcieniami tego potwornego charakteru, począwszy od hipokryzyjnéj litości nad błędami brata, skończywszy na przerażającéj wizyi sądu ostatecznego i bluźnierczéj modlitwie w chwili ostatecznéj katastrofy, nie widzieliśmy dotąd na żadnéj ze scen niemieckich, a prawdę tę przyznają nawet sprawozdania teatralne tutejszych gazet niemieckich. *Narcyz Rameau* dawał znakomitemu artyście mniéj sposobności do rozwinienia wszelkich przymiotów gry swéj i talentu dramatycznego. Nasamprzód jest sama sztuka mozaiką niezawsze i niewszędzie szczęśliwie przeprowadzoną reminiscencyj hamletowych w charakterze głównego bohatera, nowoczesnych sztuk Scribego, Augiera, Gozlana, Sandeau w układzie scenicznym,—i otóż pierwszy powód, dla czego choćby nawet pierwszorzędny artysta dramatyczny nie potrafi stworzyć z *Narcyza* jednolitego, logicznego w samym sobie charakteru, czém go nie stworzył autor. Daléj zaś, powierzyła z niewiadomych nam powodów dyrekcya teatru, właśnie na ten występ Królikowskiego, pierwsze role sztuki, jak np. rolę markizy Pompadour, słabszym, jeśli nie najsłabszym siłom swego towarzystwa, kiedy np. najodpowiedniejsza do roli Pompadoury, p. Hofmanowa, wolała w dniu tym ograniczyć się na roli spektatorki. Po dwóch tych gościnnych występach opuścił Poznań Królikowski; w kilka dni późniéj wyjechał teatr krakowski, pożegnawszy nas jeszcze drobiazgami, jak: *Robertem i Bertramem, Łobzowianami, Krakowiakami i Góralami.* Przez wszystkie miesiące lata, nie będziemy mieli w Poznaniu samym teatru; utrzymuje go tylko z istnie partyzanckiém powodzeniem na prowincyi, w Pleszewie, Gnieźnie, Śremie, pan Kalieiński, mimo szczupłego i dorywczo zebranego grona artystów.

Natomiast nie ulega już wątpliwości, że od dnia 1 grudnia r. b. bierze w entrepryzę teatr poznański p. Stanisław Koźmian, i że scena poznańska wyjdzie w ten sposób na rodzaj filii teatru krakowskiego. Szczęśliwszéj kombinacyi dla trwałości sceny poznańskiéj nie można sobie było życzyć; wystawienie zaś gmachu teatralnego, podjęte już teraz bardzo na seryo, zwiększa widoki owéj trwałości i zamienia je niemal w pewność.

Przechodząc od tego na pierwszym planie będącego przedmiotu do innych, niepodobna mi się powstrzymać od zapisania i w obecnym liście wrażenia, którego niepodobna uniknąć, wyjrzawszy ze czterech, lipcowém gorącem rozpalonych ścian na ulicę poznańską. Jest to wrażenie dla kogoś, co chciwy reform i nowości, miłe i pożądane może; dla sługi waszego, co je przyjmuje *cum beneficio inventarii*, często przykre i bolesne. Sprawia je owe wywracanie i przebudowywanie starego Poznania na wzór i cyrkiel berliński. Wyrastają z ziemi na miejscu zwalanych z każdym dniem starych i małych domków, wspaniałe trzy i czteropiętrowe kamienice, ale wśród téj niby to estetycznéj metamorfozy ginie i znika stary, historyczny Poznań, zaciera się charakter dawny miasta, a powstaje jakieś nowe miasto, które ze starego i to nie wszędzie zaledwie nazwiska ulic zatrzymuje. Tak np. znikła istniejąca od r. 1506 na tak zwanym Nowomiejskim rynku, starożytna pamiątka, *Ciemna bramka*, ze swoją gotyckie godło noszącą kamienną tablicą. Tak daléj pada w gruzy stara Święto-Marcińska ulica, by jako główna kommunikacyjna droga między miastem a dworcami kolei żelaznych, zmartwychwstawać w licznych nowych wspaniałych kamienicach, po większéj części inoplemiennych właścicieli. Tak wreszcie, co najbardziéj pożałowania godne, znikają dla nowych ulic i nowych kamienic ogrody pośród miasta w podobny sposób, jak już poznikały kilkanaście i więcéj lat temu za miastem dla zabudowań fortecznych, które nawiasowo powiedziawszy, teraz jeszcze rozszerzać mają. Wyrasta, słowem, przed oczami naszemi, na lewym brzegu Warty, na miejscu dawnego Poznania, jakieś nowe miasto, w którémby się nie tylko poczciwy założyciel Przemysław nie poznał, ale w którém i nam, w jego murach zrodzonym i przemieszkującym, trudno rozpoznać się przyjdzie. Prawy brzeg Warty tylko, Chwaliszcze, otoczenie katedry i kościoła Panny Maryi, Śródka, zachowują dawny charakter i dotychczasową zewnętrzną fizyonomię.

Nie dość na tém gotuje się mniéj więcéj równoległa metamorfoza *zewnątrz* miasta. W przeciągu kilku lat ostatnich stał się Poznań centralném ogniskiem kilku kolei żelaznych. Do roku 1870 był połączony kolejami żelaznemi tylko z Berlinem i Wrocławiem; odtąd przybyła mu dzięki czynności i inicyatywie p. Stroussberga, tak zwana kolej Marchijska, a teraz świeżo właśnie kolej Poznańsko-toruńska. Jest więc w planie zbudowanie wielkiego centralnego dworca kolei żelaznych na miejsce dotychczasowego, który pod żadnym względem zaszczytu Poznaniowi nie czyni, jest daléj w planie urządzenie prostéj nowéj kommunikacyi między dworcem owym a miastem i zbudowanie wspaniałego na téj drodze kommunikacyjnéj mostu. Przygotowawcze roboty do tych wszystkich nowych wspaniałości zamieniły tymczasem całą przestrzeń pomiędzy miastem a starym dworcem kolei żelaznéj w istne kretowiny i przepaście piaszczyste, w które nieświadomemu miejscowości i w nocy nie radziłbym się nikomu zapuszczać. Zresztą nie powiedziałbym byśmy dotąd przynajmniéj przy owém zwiększeniu ruchu kolejowego, byli zyskali zbyt wiele na wygodzie i usłużności. Kto z nas skazany na wyjazd z Poznania jednym z tak zwanych szybkich pociągów kolei żelaznéj doświadczy téj prawdy na własnéj osobie nader przekonywająco. Ekspedycya biletów *jedna* na trzy pociągi rozchodzące się w różne strony, liczba urzędników niedostateczna, grzeczność i usłużność zbliżająca się tém więcéj może do północno-amerykańskiéj, by się nie zapożyczać niczém i w niczém u zwycięzonych i zdeptanych Francuzów. Próżno często czekają obładowani tobołkami podróżni przed zamkniętemi drzwiczkami wagonów, których im nikt otwierać nie przychodzi, lub z brutalną odpowiedzią: „*Gehen Sie weiter*", odprawia. Wszystko to, jak się mamy prawo spodziewać, również tymczasowe, jak tymczasowy sam dworzec kolejowy, jak tymczasowa wśród gór piasku i przepaścistych kretowin kommunikacya z miastem, ale cokolwiek bądź, jest owa *teraźniejszość* nader przykra i niezonośna i nieczyniąca z naszego kochanego grodu Przemysławowego zbyt przyjemnego miejsca pobytu a zwłaszcza wyjazdu. Dodajmy jeszcze dla kronikarskiéj dokładności, że niezadługo ma jeszcze kraj nasz zyskać nową koléj żelazną, według mnie bardzo problematycznéj użyteczności, mającą łączyć miasta Pilicę i Zbąszyn w prostéj linii.

Co się tycze nowin naszych z innéj dziedziny nie są one, jak bardzo naturalnie o téj porze, zbyt obfite. Żniwa rozpoczęte bardzo wcześnie dzięki sprzyjającéj na pozór temperaturze, nie zadawalają w znacznéj części gospodarzy. Jeśli pszenice wypadły pięknie, to przeciwnie żyta plonują tak źle, że w wielu miejscach ziarno na zasiew kupować przychodzi.

Z przedsięwzięć przemysłowych wypada mi jako rzecz nową a przychodzącą szczęśliwie do skutku zapisać założenie tak zwanéj *Garbarni Poznańskiéj* na akcye. Garbarnia ta, przedsięwzięcie zapowiadające istotnie wrazie umiejętnego prowadzenia znaczne a niezawodne zyski, ma być założona pod miasteczkiem Wronkami nad koleją żelazną, o 5 mil od Poznania; walne zebranie, na którego porządku dziennym znajdujemy sprawozdanie komitetu urządzającego i ukonstytuowanie się spółki przez wybór rady nadzorczéj, zwołano na dzień 28 Sierpnia do Poznania. Za to zapowiedziane olbrzymiemi inseratami po wszystkich pismach naszych przedsięwzięcie akcyjne na założenie wielkiego browaru w mieście Grodzisku, okazało się nie wy-

tłómaczonym humbugiem *Schwindlem*, z którym się podobno prokuratorya królewska ma zamiar rozprawić. A szkoda, wielka szkoda, bo nasz bursztynowy, zdrowy, lekki, starodawny nektar grodziski zasługiwał istotnie, by się spekulacya nim na prawdę zajęła i odpowiednio do wartości rozpowszechniła.

Rysunek Jana Matejki.

Odtworzony przez artystę w charakterystycznym wizerunku Jan Dymitr Solikowski, arcybiskup lwowski, mąż stanu służący krajowi pod trzema panowaniami, był synem ubogich rodziców zamieszkałych w Sieradzkiém, przyszedł zaś na świat za Zygmunta I w roku 1529. Kształcił się w Akademii krakowskiéj i we Włoszech, a praktycznéj znajomości spraw publicznych nabywał owoczesnym zwyczajem w kancellaryi Zygmunta Augusta. Dźwigniony z szarego poziomu ramiony biskupów Uchańskiego, Karnkowskiego, Hozyusza, Kromera, od wczesnéj młodości przejął się w owych czasach niepokojów religijnych wielką żarliwością o wiarę, która rychło skłoniła go do obrania stanu duchownego, a następnie do wysokich dostojeństw kościelnych drogę przetarła.

W dawnéj Rzeczypospolitéj stan kapłański nie przeszkadzał udziałowi w sprawach publicznych, owszem wszyscy biskupi z urzędu byli senatorami, najbliższymi doradcami królewskimi. Widzimy tedy Solikowskiego sekretarzem Zygmunta Augusta, oraz posłem od niego podpisującym pokój z Danią, a jak Starowolski powiada, miał w ciągu życia aż 24 poselstw odprawić. Po śmierci małżonka Barbary czynnie obstawał przy elekcyi Henryka Walezyusza, a kiedy ten ostatni uciekł do Francyi, Solikowski jeździł za nim, by go nakłonić do powrotu. Gdy naleganiom jego nie dawano posłuchu we Francyi, a w Polsce postanowiono przystąpić do nowéj elekcyi, Solikowski powodowany interesami wiary, zalecał znów do tronu Alfonsa księcia Ferrary. Rad jego nie usłuchano; naówczas lubo mniéj chętnie przechylił się ku Batoremu, którego prawowierności nie nazbyt w Polsce wierzono, i dla tego Solikowski był wysłany przez biskupów, by jeszcze przed wstąpieniem Batorego na ziemię polską uzyskać odeń wyznanie wiary. Zaspokojony w tym względzie, przyjął następnie od króla Stefana wysoce kłopotliwe poselstwo do cesarza niemieckiego Maksymiliana, aby go skłonić do wyrzeczenia się myśli opanowania tronu polskiego. Maksymilian wysłuchał go i odprawił wielce łaskawie, ale w drodze, na przekorę prawu narodów, pochwycono Solikowskiego i jego orszak, osadzono w więzieniu w Linzu, i trzymano przez cztery miesiące w niewoli, pokąd usilne przełożenia dworu polskiego nie otwarły zamczystych podwojów. Z kolei potém był Solikowski w roku 1578 komissarzem królewskim do stanów pruskich, jako kapelan i sekretarz królewski znajdował się przy boku Stefana podczas oblężenia Połocka, układał się z pełnomocnikami Rygi o poddanie tego miasta. Wreszcie wyniesiony na arcybiskupstwo lwowskie, po śmierci reformatora kalendarza papieża Grzegorza XIII posłował od króla dla złożenia hołdu nowemu najwyższemu pasterzowi. Po zgonie Batorego dopomagał Zamojskiemu do wyniesienia na tron Zygmunta Wazy. Późniéj jednak raz go już tylko widzimy w roku 1598 urządzającego Inflanty z polecenia królewskiego: pochylony wiekiem, resztki sił interesom duchownym swéj archidyecezyi oddawał.

Życie czynne zabierało Solikowskiemu czas, który ze skłonności rad był poświęcać pióru. Z początku jednak pisywał poezye łacińskie i polskie w duchu surowo-ascetycznym, nie przepuszczającym ani sztukom pięknym, ani najpiękniejszemu dziełu bożemu kobiecie. Temi cechami odznacza się szczególniéj polski jego poemat *Lukrecya Rzymska*. Atoli pióra literata używał chętnie Solikowski za pomocnicze narzędzie w sprawach politycznych. Penzel i Ossoliński jemu przypisują *Idea Apocalyptica* uchodzącą za dzieło Orzechowskiego, a wystawiającą skołataną burzami Rzeczpospolitą. Po obiorze Henryka razem z Karnkowskim napisał *Rozsądek o sprawach elekcyi warszawskiéj*, w którym tak do żywego dokuczył protestantom, że jeden z nich Firléj wtrącił drukarza téj książki do więzienia. Po ucieczce Henryka wydał jeszcze broszurę popierającą księcia Ferrary. Ostatnią i najlepszą jego pracą, pisaną snadź po usunięciu się od życia publicznego, był *Krótki pamiętnik rzeczy polskich*, obejmujący wypadki od śmierci Zygmunta Augusta do obioru Zygmuta III i zawichrzeń tym wyborem spowodowanych. Dzieło to przełożono na język polski przez Ludwika Kondratowicza, wyszło w Petersburgu w zbiorze p. t. *Dziejopisowie krajowi* (1854).

Wielka żarliwość religijna, która niekiedy przeszkadzała Solikowskiemu jasno przeglądać w sprawach krajowych, która czasami nie dozwalała mu wstąpić na jedyną politycznie możliwą drogę wzajemnych ustępstw z różnowiercami, która skłaniała jego serce ku lichemu Henrykowi III francuzkiemu, a nie dawała wyplenić nieufności ku Stefanowi, okazała się potęgą nader dobroczynną w jego czynnościach duchownych Solikowski czynnie wpływał na założenie Akademii wileńskiéj; jemu w zupełności zawdzięczała swe powstanie jezuicka Akademia lwowska i klasztor tameczny benedyktynek; on też zaprowadził był w całéj Polsce bractwo religijne św. Anny. Duchowieństwo swéj archidyecezyi trzymał w surowym rygorze, a dla przywrócenia nadwątlonéj karności zakonnéj, po pół roku niekiedy przemieszkiwał w jednym klasztorze. Szkołami w obrębie swéj władzy gorliwie się zajmował; sam badał postępy uczniów i uzdolnienie nauczycieli.

Szlachetny jego charakter najlepiéj się maluje w zestawieniu dwóch następujących wypadków: Kiedy po obiorze Zygmunta Turcy zagrażali najazdem, a Zamojski obwarowywał się we Lwowie, powiadając, iż nie ma sił dostatecznych dla zabieżenia drogi nieprzyjacielowi, arcybiskup mu na to powiedział: „Byle stało ochoty a wojsko być może; niech wezwą jeno do broni szlachtę wszystką. Pieniądze na czwartą część żołdu, *ile się ich u arcybiskupa znajdzie*, rozdzielą się pomiędzy żołnierstwo" etc. Tenże sam arcybiskup, który miał pieniądze na cele publiczne, w testamencie swoim, zwracając się do rodziny, pisze: „Przebaczcie mi, jeśli *wam nie mogłem dopomódz*; czyniłem co mogłem i wy innym czyńcie wedle możności"...

Zmarł Solikowski w r. 1603. Pogrzebiony w kościele metropolitalnym we Lwowie.

POWÓDŹ W CZECHACH.

Układ pionowy Czech jest przyczyną rozlicznych klęsk, jakich okolice te doświadczają skutkiem powodzi powstających tak z tajenia śniegów w górach leżących, jak również i deszczów ulewnych.

Wypadki te praktykujące się peryodycznie, czasami przybierają olbrzymie rozmiary, jak to miało miejsce w r. b. gdzie w ciągu trzech dni 24, 25, i 26 Maja woda zniszczyła zupełnie powiaty: Horowicki (Horowitz), Rakowicki (Rakowiec), Pilzeński, Sadzki (Zatecz), Kralowicki Smichowski i Prazki. Tysiące familij wraz z całém swém mieniem znalazły zgubę całego mienia w nurtach rozhukanego żywiołu, którego potędze tak wszelkie budowle jako i niebotyczne drzewa oprzeć się nie mogły.

Ucierpiało również wiele miejscowości położonych w okolicach: Karlsbadu (Karolowe Wary), Larnu, Szlanu (Ludyn), Miesa, Ludic (Ludyn), Braunau (Brownów) i Nowego Miasta. Kamienny most na rzece Wełtawie pod Pragą został również znacznie uszkodzony. Rycina na str. 595 naszego pisma przedstawia właśnie ową straszną katastrofę pod Königsaale.

ROZMAITOŚCI.

— Włosi na gwałt piszą opery. Młody kompozytor Antoni Schepiro napisał operę pod tytułem *Evangelina*. W Bolonii kapelmistrz wojskowy Brutti wystawił nowe swe dzieło p. t. *Macco*, które miało się bardzo podobać publiczności. Podobnież przychylnie przyjęto w Turynie dzieło Bosellego p. t. *Caterno di Belp*. Defino w Neapolu ukończył operę *La Fiera*. Bertiniego nowa opera *Guido di Morand* ma być wystawiona w Odessie. Zdawałoby się, że tego już dosyć; tymczasemjeszcze niejaki Gomez, kompozytor brazylijski, przychodzi w pomoc Włochom: jego operetka *Il Guarany* ma być wystawiona w teatrze opery włoskiéj w Londynie. Niedługo chyba przyjdzie do tego, że opery włoskie jak wodewile francuzkie księgarze sprzedawać będą na tuziny.

— W Pradze Czeskiéj począł wychodzić przekład *Iliady*, dokonany wierszem rymowym strofowym przez prof. Fr. Sebka. „Svetozor" drukował wyjątki tego przekładu, znamionujące niepospolity talent tłómacza. W Krainie ma wkrótce się ukazać pierwszy do téj pory dziennik słoweński.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 31 Іюля (12 Августа) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.